

W modréj źrenicy wschodzi perła drobna,
Jasna, przeczysta,
Mieniąca w barwach, to znów mgłą żałobna,
To promienista;

To szkląc, świetlane swe koło zatoczy,
To niknie w modréj źrenicy obłoczy:
Niewinność, marzenie,
Nieokreślone dziewicze tęsknoty
To perły odcienie,
To migające w perełce klejnoty!
A tym klejnotom miłości tchnienie
Blasku użycza,
Strojąc je w cudne barwy i cienie:
To łza dziewicza!
Spłynęła w życie,—i oto blask traci;
Mglista i smętna wolnym prądem płynie,
Nie jak za młodu:
Bo też i młode rojenia w ruinie.
Łza ta rojeniom dzisiaj dług swój płaci:
To łza zawodu!

Witold Jaroszyński.

WOJNA Z SĄSIADKĄ.

Drobnostka dramatyczna, p. Wolody Skibę, (aut. powieści *Igła i Pióro*).

(Dokończenie).

IV.

Tymczasem zaraz po wyjściu panny Brygidy, pani Jagodowska z panną Teklą weszły do pokoju pana Kaźmierza, niosąc przygotowaną sałatę.

— O! jak też sobie wypachnił mieszkanie, to doprawdy nic piękniejszego, — zauważyła gospodyni.

— Jakaś dziwna mieszanina najróżniejszych wonności,—rzekła panna Tekla,—coś co przypomina skład materjałów aptecznych... Doprawdy tu się musiało stłuc kilka butelek z różnemi fryzjerskiemi towarami... Nie wiedziałam, że sąsiad tak lubi perfumy...

I panna Tekla zaczęła się kręcić po pokoju sądząc, że gdziekolwiek znajdzie jaki rezerwoar tych woni.

— Tu czuć piżmo... tu anodyny... tu jaśmin,—mówiła przechodząc z miejsca w miejsce, — tu coś niepojętego... bursztyn czy trociczki...

Pani Jagodowska nie tak pilnie zajmowała się wonnościami, lecz spostrzegłszy na stole pokrajanego już kuraka, zaczęła obkładać go sałatą z całą gastronomiczną symetrją.

— Napoczął już... nic piękniejszego,—mówiła do siebie,—widać, że ma apetyt... pewno wróci nie długo kiedy tak wszystko zostawił na stole.

— Jednak ciekawam,—rzekła panna Tekla, — zkąd te pachnidła brać się mogą... W każdym kącie inaczéj pachnie.

— Teraz wracam do kuchni, bo mi się pieczeń na nic piękniejszego spalić gotowa, rzekła wychodząc gospodyni.

W téj chwili otworzyły się drzwi i wszedł pan Kaźmierz.

Panna Tekla była właśnie zbyt daleko od pokoju pani Jagodowskiéj, żeby się mogła na czas usunąć, widząc zatem wchodzącego pana Kaźmierza, krzyknęła lekko przestraszona, i w braku lepszego sposobu usunięcia się, ukryła się jak mogła za szafę.

Lekki jéj krzyk jednakże doszedł do ucha pana Kaźmierza, sukienka jéj w przelocie mignęła mu przed oczyma, i nasz bohater spostrzegł się, że wojna pomyślny dlań obrót wzięła, strona bowiem przeciwna była jego jeńcem.

— Psst! — pomyślał, — złapałem ptaszka!... Udajmy, że jéj nie spostrzegam. Nic doskonalszego przytrafić się nie mogło... Zwycięztwo!... zwycięztwo!... A wytrzymam w kozie, wytrzymam!

Rozejrzał się po pokoju czy nie ma panny Brygidy, unikając spoglądania za szafę.

— Pachniąca poszła... to wybornie!... przecież się tego utrapienia pozbyłem.

— Nie spostrzegł mnie, — myślała uradowana panna Tekla,—co za szczęście!... Gdyby ta Jagodowska miała rozum, toby go przecież po co wywołała.

— Zabierzmy się do śniadania, — myślał pan Kaźmierz.— niech sąsiadeczka pokutuje... Ha! co widzę... kurakowi przybyła sałata!... Co za Lukullusowa uczta!...

Zasiadł do stołu, poniósł szklankę do ust, napił się trochę i postawił ją z grymasem.

— Fe!... jakaś lura wino!... anodynami pachnie... Może to zresztą przywidzenie... Tak mi tu ta pachniąca wszystko przepachniało.

I zabrał się do krajania kuraka.

Panna Tekla uwięziona niepokoiła się w swéj kryjówce.

— Masz tobie!... zasiadł do jedzenia... toż mnie wytrzyma!... Że się ta Jagodowska nie domyśli!...

Skosztowanie kuraka nie bardzo dodało apetytu panu Kaźmierzowi.

— I w tym kuraku jest także coś brzydkiego— myślał —perfumy... słowo daję perfumy... Otoż nowy wybieg wojenny... nowy krok nieprzyjacielski...

Położył widelec i zadumał się.

— W każdym razie mniejsza o śniadanie... wypada rozważyć coby tu począć teraz?.. Trzymam sąsiadkę w oblężeniu... trzeba z tego korzystać i zakończyć wojnę zwycięztwem.

— Siedzi i myśli,—rzekła do siebie panna Tekla,—o mój Boże!... gdyby tak usnął...

Bohater nasz nie długo szukał pomysłu...

— Zmuszę ją do kapitulacji.. plan wyborny... Zabierzmy się do jedzenia z hałasem.

Nalał znowu wina do szklanki i zaczął udawać, że je pije. Po chwili odjął szklankę od ust, z gwałtownością postawił na stole i zawołał umyślnie głośno, żeby panna Tekla słyszeć go mogła.

— Nie... to nie do wytrzymania!... to mnie już oburzać zaczyna!... Znowu mi robią na złość!... znowu dokuczają!... Jakiejś trucizny dolali mi do wina!...

— Ciekawam co może być w tem winie,— pomyślała panna Tekla.

Pan Kaźmierz grał daléj komedją.

Udał, że się zabiera do jedzenia i po chwili cisnął widelcem o stół.

Panna Tekla o mało nie krzyknęła.

— To już przechodzi wszelkie granice,— zawsze głośno unosił się pan Kaźmierz,—kura oblana jakimś obrzydłym tłuszczem... olejem preparowanym... terpentyną... kwasem siarczanym może, bo tak w język piecze... Tu na moje życie czyhają!...

— To niepojęte! — mówiła w duchu panna Tekla.

Urzędnik magazynu solnego zaczął chodzić wielkiemi krokami po pokoju i wciąż w najwyższem niby uniesieniu głośno rozprawiał z sobą.

— Jak tu na to wszystko poradzić?... jak się tu pozbyć tego wszystkiego?... Najlepsza rada wyprowadzę się... dłuższéj wojny z sąsiadką nie wytrzymam... struć mnie gotowa.

Mówiąc te słowa myślał:

— Ciekawym jak sąsiadka to przyjmie?...

Groźba wyprowadzenia się nieprzyjemnie uderzyła pannę Teklę.

— Mój Boże,—myślała,—gdybym to choć ja zrobiła. Ale ja nic nie wiem jak to się stało!

— Tak, wyprowadzę się,—prawił pan Kaźmierz daléj,—tylko to bieda, żem nie wymówił mieszkania.... No, to cóż?... wywieszę kartę i odnajmę od siebie... Ale gdzie się wyprowadzić?... A! choćby do hotelu, byle dziś!...

— O mój Boże! dziś jeszcze, — westchnęła panna Tekla.

Wykonywając bezzwłocznie swój zamiar pan Kaźmierz zasiadł do biurka i zaczął pisać kartę wynajmu.

— Ciekawym jak jéj się to spodoba,—myślał,—i czy nie zechce wejść w układy?...

Lecz po pewnym czasie pisania nasz bohater przerwał sobie.

— Nie wypada jéj tak trzymać zbyt długo,— myślał,—gotówby kto wejść i dostrzegłby że jest za szafą... nigdybym sobie nie darował, gdybym ją na tę przykrość wystawił... Dajmy jéj sposobność wymknięcia się, i zobaczymy jak przyjmie moje wyprowadziny... Jeżeli obojętnie... a! to byłby znak straszny... głowa mi pęka na samą myśl... lecz jeżeli inaczéj... wtedy... co za szczęście! co za raj!...

Z takiemi myślami, zawieszony między nadzieją i obawą, pan Kaźmierz wyszedł, zo-

stawiając na biurku zaczętą kartę wynajmu i zmuszając oczy, żeby nie spojrzały za szafę, gdzie je magnes jakiś pociągał.

Gdy drzwi zamknęły się za nim i panna Tekla wyszła ze swojéj kryjówki, nie była wcale tak szczęśliwa z odzyskanéj wolności, jakby się tego spodziewać należało, lecz czegoś bardzo, bardzo smutna.

— Wyprowadza się, — myślała, — gniewa się... jeszcze dziś... tak drzwiami trzasnął w złości... do hotelu... ucieka!... Ach! mój Boże, po com ja się wdała w tę wojnę!... Myślałam, że te psoty niewinne zrobią mu przyjemność, a on tymczasem taki zły!... I żeby jeszcze było o co!... Przecież ja mu w najszczerszéj myśli posłałam po to wino i po tę kurę... za oleander.

Zbliżyła się do stołu i powąchała wino.

— Prawda, że jakoś dziwnie pachnie, ale doprawdy ja nic nie dolałam... Albo ta kura... co za szkaradna tłustość!... co za zapach!... Masz tobie!... i łza moja do niéj kapnęła... widocznie to śniadanie nie ma dzisiaj szczęścia.

Otarła oczy chusteczką i zbliżyła się do biurka, żeby zobaczyć kartę napisaną przez pana Kaźmierza.

— „Dla osób lubiących harmider, — czytała, — i wojnę z sąsiadami..." och! jaki złośliwy!... „tu jest do wynajęcia natychmiast pokój na pierwszem piętrze..." I on by to na ulicy wywiesił... to mi chce zrobić reputację kłótnicy!... Nie ma wątpliwości, że ani myśli o mnie... A mnie się zdawało, mój Boże!...

Znowu zakryła twarz chusteczką.

Po chwili zaczęła przerzucać inne papiery.

— Po com ja mu pisała *elle n'aimera pas*, — myślała,—to go pewno zaczęło gniewać, a to nieszczęście z winem i kurą zrobiło resztę... Doprawdy tak to —dodała znajdując oporządzony przez panią Jagodowską kajet, — podarł ze złości swoje konjugacje. A to mnie los prześladuje za tę nieszczęśliwą wojnę!...

Nowa chwila namysłu nasunęła pannie Tekli myśl inną.

— Czemuż on ma się wyprowadzać, kiedy to ja winnam wszystkiemu?... Czemu ma się rujnować i cierpieć niewygodę w hotelu?... Nie, toby było niesprawiedliwie, na to pozwolić nie powinnam. To mnie wypada się wyprowadzić, kiedy mu zawadzam... Tak, nie ma co długo myśleć... Wyprowadzę się natychmiast, niech on zostanie... Nawet innéj karty pisać nie trzeba... Dopiszę na téj saméj. że pokój jest od podwórza, to już nie będzie mógł być czyj inny jak mój...

I spełniając swą poczciwą ofiarę, zabrała się panna Tekla do uzupełnienia karty wynajmu, zaczętéj przez pana Kaźmierza.

Podczas pisania serce jéj się ściskało, do oczu cisnęły się łzy. Zajęta jednym tylko przedmiotem, zapomniała gdzie się znajduje, nie słyszała co się w koło niéj dzieje, i najmniejszéj nie zwróciła uwagi na wejście pana Kaźmierza, który wspaniałomyślnie wypuściwszy swego jeńca z niewoli, powracał do siebie przekonany, że jéj nie zastanie.

Widząc, że nie jest spostrzeżony przez pannę Teklę zajętą pisaniem przy biurku, pan Kaźmierz pomyślał:

— Pracuje pewno nad nowym figlem... złapię ją na gorącym uczynku.

I cichutko, na palcach, zbliżywszy się i stanąwszy za panną Teklą zaczął czytać myślą jéj pismo.

— „Dla osób lubiących harmider i wojnę z sąsiadami..." co ona tu dopisuje?... „jest do wynajęcia natychmiast pokój na pierwszem piętrze... w oficynie." A!... sąsiadeczka chce mnie pokonać moją własną bronią i grozi wyprowadzeniem.

Panna Tekla pisała ciągle.

— „Gdzie wystawka z kwiatami..."

— Jednak to smutno, — myślał pan Kaźmierz, — ja myślałem, że się zmartwi, a ona to w żart obraca....

Lecz pannie Tekli nie żarty były na myśli.

Łzy przepełniły jéj oczy i jedna z nich spadła na papier.

— Boże! wszak ona płacze!—rzekł w duchu pan Kaźmierz.

Jakoż w istocie panna Tekla dłużéj powstrzymać się nie mogła.

Przycisnęła chustkę do oczu i głośno już łkać zaczęła.

— Panno Teklo, przebacz mi pani, — zawołał pan Kaźmierz z zapałem.

Nie łatwo opowiedzieć pomieszanie i zdziwienie panny Tekli z jakiemś dziwnem połączone szczęściem.

Ten którego opłakiwała był przed nią i błagał przebaczenia.

— Ach! panie Kaźmierzu, — odezwała się przyszedłszy cokolwiek do siebie, — to ja podobno powinnabym pana przeprosić za tę całą wojnę, chociaż doprawdy... nie myślałam robić panu przykrości.

— Pani, — odrzekł pan Kaźmierz, — nasza wojna skończona... nie przebaczę jéj sobie, kiedy wycisnęła łzy pani.

Rozpogodziło się czoło panny Tekli.

— O! tych łez nie masz pan co tak bardzo dźwigać na sumieniu.

— Wybaczasz mi je pani?...

— Z ochotą, i chcę żeby odtąd pokój między nami panował.

— Ach! i ja nie pragnę niczego więcéj, panno Teklo... lecz kiedy zawieramy traktat pokoju, czy pozwolisz mi pani, że położę jeden warunek, dla ustalenia trwałości téj zgody?...

— Jakiż warunek?...

— Zaprzysiężemy naszą zgodę przed ołtarzem.

— Panie Kaźmierzu... znasz mnie pan tak mało,—zaczęła nasza bohaterka.

Pan Kaźmierz nie dał jéj dokończyć.

— Kocham cię od pierwszego ujrzenia, — zawołał,—kocham cię stale, miłością prawdziwą, i w téj chwili błagam na kolanach, Teklo, nie odbieraj mi nadziei...

Nie wiadomo jakiemi słowy panna Tekla byłaby wypowiedziała, to co zresztą nie ulegało wcale wątpliwości, gdyż w téj chwili otworzyły się drzwi i ukazała się pani Jagodowska.

— Nic piękniejszego!... taką wojnę lubię,— zawołała spostrzegając swego lokatora na kolanach przed sąsiadką.

Pani! — rzekł wstając pan Kaźmierz, — w twojem spojrzeniu wyczytałem odpowiedź... Masz tyle serca, że nie powiesz, żem się omylił.

Gospodyni po raz drugi przeszkodziła pannie Tekli odpowiedzieć.

— Nic piękniejszego... nic piękniejszego moi państwo, — rzekła, — to mi się podoba. Mój nieboszczyk także mi się na kolanach oświadczał... Teraz to podobno nie w modzie... ale dziś nie takie mody jak dawniéj... dawniéj było nic piękniejszego... dobrze, że się po staremu kochacie... Pobierzecie się za trzy tygodnie... dam wam doskonałe mieszkanie... te pokoje, które dziś zajmujemy wszystko troje... ja się wyprowadzę do oficyny. Będziecie mieszkali, nic piękniejszego, jak w raju... Żadna sąsiadka nie zakłóci wam spokojności...

Pani Jagodowska zapomniała jak widać o pannie Brygidzie, któréj głos dał się słyszeć w téj chwili.

— I ja także jestem sąsiadką i potrzebuję świętéj spokojności, dla tego odnoszę panu bukiety, listy i portrety, któremiś mnie napastował. Obeszłam się z niemi jak zasłużyły...

To mówiąc panna Brygida z koszyka, który trzymała w ręku wysypała na podłogę stos poszarpanych liści, kwiatów i papierów.

— Żebym więc pani nie był nic dłużny,— odrzekł pan Kaźmierz, któremu szczęśliwy obrót sprawy całą wesołość przywrócił,—wypada, żebyś pani zabrała to śniadanie, któreś mi raczyła upachnić.

Panna Brygida stała pomieszana i niewiedziała co odpowiedzieć.

Wejście Jana wybawiło ją z kłopotu.

— Ta proszę pana, — rzekł wchodząc, — ten ta pan francuz przysyła, że ta dziś nie przyjdzie na lekcją bo chory...

— Tem lepiéj, — rzekł pan Kaźmierz do panny Tekli,—będziemy oboje odmieniali słowo kochać.

— Na wszystkie sposoby... nieprawdaż? — zapytała pana Tekla.

— Prócz przeczącego,—zaprotestował nasz bohater.

— Nic piękniejszego!... bodaj się tak wszystkie wojny z sąsiadkami kończyły!... — zadecydowała gospodyni, i wypełniając zlecenie pana Kaźmierza, wpakowała kurę z sałatą do koszyka panny Brygidy.

Drezno, Kwiecień 1867.

JEDEN DZIEŃ POBYTU W KANTONIE.

Wielu Europejczyków sądzi, że Hong-Kong jest prawdziwie chińskiem miastem, ale mylą się bardzo. Bezwątpienia, że większa część mieszkańców składa się z chińczyków, sumiennie wedle przepisów swéj wiary golących głowy i zaplatających warkocze, lecz miasto jest zupełnie angielskie. Zdobią go piękne sklepy na sposób europejskich i równe ulice, po których szczególniéj wieczorem roją się jadący i piesi. Posiada kościoły chrześcijańskie, kilka klubów, domy na angielski sposób urządzone, banki, sądy, więzienia, i komtuary także czysto angielskie. Będąc więc w Hong-Kong, nie jest się jeszcze w prawdziwych Chinach. Że jednakże pragnęliśmy zobaczyć ich takiemi jak są i będą zapewne po tysiącach lat, umyśliliśmy zwiedzić stare miasto Kanton, o którem powiedziano nam, że nam da obraz Chin tak wierny, jak Kair starego Egiptu. Dwie linje statków parowych łączą ciągle Hong-Kong z Kantonem, jednego tedy poranku o 9-éj godzinie wsiedliśmy na statek amerykański, wierną kopją tych, jakie kursują po rzece Missisipi, z długą galerją krytą dla przechadzki passażerów, co i w tym kraju także jest lubione. Przygotowano nas do tego, że wiele w Kantonie doznamy nieprzyjemności, a może nawet i niebezpieczeństwa. Troskliwość przyjaciół przesadziła bardzo ten obraz. Przepowiedziano nam, że nie wiele jest domów zajezdnych i że zapewne przyjdzie nam nocować w składach towarów t. j. pod gołem niebem i wśród niewygód wszelkiego rodzaju. O parowcu nic nam nie mówiono, byliśmy też na wstępie swéj podróży w cierpkiem usposobieniu, które wprawdzie znikło, gdy nas zaprowadzono na górny pokład, gdzie amerykański kapitan, chłopak doskonały pod każdym względem, przyjął nas grzecznie, robiąc honory przy śniadaniu.

Świeży wietrzyk przysyłał nam swoje powiewy, i dzięki mu nie czuliśmy przykréj woni, jaką zwykle chińczycy nagromadzeni w wielkiéj liczbie z siebie wydzielają. Zaczęliśmy się przypatrywać tym, co byli razem z nami i sposobowi jakim palili opjum. Fajka do opjum składa się z rurki na stopę długiéj, w pośrodku któréj jest bardzo mała stambułka. Przygotowanie opjum do palenia zabiera palącemu cokolwiek czasu, trzyma je bowiem nad stojącą przed sobą lampą, nawija na cienki żelazny drucik, nadając mu kształt piramidalny i wsadziwszy do owéj stambułki, zapala u lampy. Po kilkokrotnem pociągnięciu dostrzedz można na twarzy palacza wyraz rozkoszy, jaką mu sprawia palenie.

Krajobraz w około fortu Bogna gdzieśmy dopłynęli, był malowniczy ze swemi wzgórzami pokazującemi się w oddali. Tu i owdzie przypomniały mi się brzegi Renu powyżéj Koblentz. Daléj zobaczyliśmy wielką ilość krajowych i obcych statków. Kapitan opowiedział nam, że poprzedniego dnia widział ściganie i bitwę statku celników z łodzią piratów, którzy na nieszczęście ujść zdołali. Wkrótce okazał się oczom naszym Kanton i przepływaliśmy wśród pól, z których dolaciała nas mocna woń, bynajmniéj nie przypominająca mocnych korzeni Arabji. Był to nawóz płynny, którym pracowita ręka rolników polewa grunta z wielkim pożytkiem dla produkcji rolnéj, ale i z wielką nieprzyjemnością dla europejskich nosów.

Mocno padało, gdyśmy przybyli do miasta, a rzecz pierwsza, która z obyczajów miejscowych w oko nam wpadła, były paletoty używane szczególniéj przez obsługujących statki, zrobione zaś z 2-ch suchych liści bananu, sznurkiem spojonych. Jaka głodna krowa lub osieł mogłyby się takim paletotem pożywić, lecz że krowy i osły nie są liczne w Kantonie, więc paletotów takich można tam bezkarnie używać.

Znajomy, z którego gościnności mieliśmy korzystać w Kantonie był nieszczęściem nieobecny, ale na ten kłopot znalazła się zaraz rada, i popłynęliśmy rzeką do najbliższego komtuaru angielskiego, który był zarazem domem mieszkalnym, ale i tu także właściciel był nieobecny, a jeden europejski lokator, jakiś anglik, w tem samem co i my położeniu, mieszkał tam od dni kilku wygodnie a bezpłatnie. Dano nam natychmiast sypialne pokoje i ugoszczono ulubioną w kraju mieszaniną angielskiego porteru i wina Sherry. Postępowano sobie z nami tak gościnnie, że przyjaciel naszego przyjaciela, który mieszkał na drugiéj stronie rzeki, dowiedziawszy się o naszym przyjeździe, przybył nas prosić, ażeby całe nasze towarzystwo złożone z dwóch par małżeńskich, wprowadziło się do niego i mieszkało cały czas pobytu w mieście. Lecz woleliśmy już zostać gdzieśmy byli.

Skorośmy się tylko urządzili w naszych pokojach, przyniesiono nam wyborny obiad, złożony z zupy, ryby, dwóch rodzajów potrawki, kury pieczonéj, tortu, puddyngu, séra i wina Sherry w najlepszym gatunku. Coby to powiedział jaki szanowny gospodarz, miłośnik tłustej wołowiny, właściciel domu w Londynie, gdyby wróciwszy z wycieczki na wieś, znalazł liczbę mieszkańców powiększoną o pięć osób, z których trzech nie widział nigdy w życiu i żeby te osoby zjadały jego najlepsze zapasy i jego najlepsze wino spijały, tak jakby byli jego najdawniejszemi przyjaciołmi. Ale w tym kraju jest to rzeczą zwyczajną, i żaden gość nie psuje sobie apetytu próżnemi skrupułami. Nam się to zdawało jakby jakąś bajeczną historją, aleśmy przyjmowali rzeczy jakiemi były. Przypadkiem był tego wieczoru teatr i my trzéj mężczyzni, wybraliśmy się na niego. Wyszliśmy z domu tylnemi drzwiami, gdyż frontowe wychodziły na rzekę i szliśmy z przewodnikiem niosącym papierową latarkę, przez groblę po nad brzegiem wody, nareszcie wyszliśmy na pole i dosięgliśmy téj świątyni chińskiéj Talji. Wdrapawszy się na rodzaj jakiejś drabiny, znaleźliśmy się wśród gromady chińczyków, stojących na platformie bambusowéj. Tajemnicza postać, która zapewne była lożmajstrem, jeżeli tam o lożach mowa być mogła, przeprowadziła nas na drugą stronę, wprost sceny, ale tak daleko, żeśmy dobrze słyszeć nie mogli, co nam wprawdzie nie wiele szkodziło, bo żaden z nas po chińsku nie umiał, a gesta aktorów były tak wyraziste, żeśmy wątek sztuki schwycić mogli. Treść była jednak tak osobliwa, żeby ją pewno w żadnym teatrze Paryża, Wiednia, Berlina bez licznych skassowań nie przyjęto, a że na temby też straciło ogólne wrażenie téj kompozycji, więc mi czytelnicy wybaczą, że ich całkiem z nią nie zapoznam. Wnoszę jednak, że jeżeli ta sztuka była wzorem prawdziwego chińskiego dramatu, to scenę chińską nie można uważać za wysoką szkołę moralności, jakkolwiekby też tegoczesnym dramatom wielkich europejskich narodów, nie mało przyganić można. Jednakże 5 czy 6 tysięcy Chińczyków zgromadzonych w olbrzymiéj budowli bambusowéj, zbudowanéj wśród przestrzeni pastwisk dla bydła, wydawało się bardzo zadowolonych ze sztuki, chociaż rozporządzenia sceniczne tego teatru wieleby dawały do życzenia, zarówno jak muzyka, jeżeli tak nazwać się godzi te tony jęczące i rozdzierające uszy bez taktu i melodji. Oświecenie teatru ograniczało się tylko na rozstawionych w około sceny miseczkach z oliwą, po któréj pływały zapalone knotki. Co cztery lub pięć minut jakiś

kompars obchodził je i objaśniał palcami. O kulisach i dekoracji mowy być nie może.

Najważniejszym ustępem całego widowiska była scena, kiedy około pięciuset Chińczyków zaczęło po drewnianem rusztowaniu skakać i ciskać się, jak nietoperze po belkach stodoły. Że zaś budowa była sklecona z całą pierwotną nieznajomością zasad architektonicznych, byliśmy więc w ciągłym strachu, żeby nam jaki chińczyk razem z częścią rusztowania, z wysokości 70 do 80 stóp nie spadł na głowę. Ta obawa najzapamiętalszemu lubownikowi widowisk, gust do nich odjąćby gotowa, ale dzięki gibkości bambusu, wytrwałe są chińskie budowle, jakkolwiek wątłemi się wydają, a chińczyk gotów wdrapać się tam, gdzie kura zaledwie utrzymać się może. Tak tedy wyszliśmy szczęśliwie i cało z teatru, wyjąwszy żeśmy mieli małą zwadę przy wychodzeniu, wtedy bowiem składa się opłata od widowiska i zażądano od nas dwa razy tyle, ale przyjaciel, który nas wprowadził nie dał nas oszukać. Na drugi dzień rano jeszcześmy nie zobaczyli naszego gospodarza. Jedząc śniadanie zawsze jako goście nieproszeni, przyglądaliśmy się z balkonu wrzącemu życiu, panującemu na rzece Czu-Kiang. Kręciły się statki jak najrozliczniejszych kształtów, wynoszono i wnoszono towary, kręcono się, biegano. Widać tam było całe familje, które innego schronienia jak te chatki pływające nie miały. Trudno nam było uwierzyć że 50 do 60 tysięcy ludzi ciągle tak mieszka. Gdy noc zapada i statki się oświecą latarniami, przedstawiają widok prawdziwie cudowny; coś co trąci karnawałem, teatrem lub czarami, dla tych coby w nie wierzyli. Przepłynęliśmy na drugą stronę rzeki i najęliśmy sobie palankin, żeby zwiedzić miasto. Winienem objaśnić, że jedynemi tu powozami są tragi czyli palankiny noszone przez tak zwanych kulisów t. j., ludzi dźwigających ciężary. Gdyśmy ruszyli, zaczęto się ciekawie przypatrywać, szczególniéj naszym towarzyszkom, co dowodzi, że kobiety europejskie mało się snują po okolicach Kantonu, a że te ulice nie mają więcéj jak 8 stóp szerokości, więceśmy się naraz znaleźli jakby wśród alei, wysadzanéj żółtemi twarzami, których skośne oczy z ciekawością się na nas wytrzeszczały. Pokazywał nam się cały szereg długich czarnych warkoczy, po nad któremi dostrzegać się dawały wiszące prostopadle do ścian, różnobarwne szyldy i sztandary sklepów tak, że prawie wśród téj ciasnoty, sklepienia horyzontu dostrzedz nie można było.

Pomiędzy wszystkiemi miastami, jakie widziałem, dawałem Aleksandrji palmę pierszeństwa co do ruchu ludności i ożywienia, ale gdym zobaczył Kanton z jego półtora miljonową ludnością, Aleksandrja wydała mi się jak ogród róż, lub jaka wioska rybacka. Całe godziny upływały wśród téj przechadzki naszéj z ulicy na ulicę, aż nareszcie znaleźliśmy się na przedmieściu i zatrzymaliśmy się przed jednym olbrzymim składem porcelany, gdzieśmy się przekonali, że najpiękniejsze wyroby nie przychodzą zwykle do Europy, chociaż będący przy tym składzie ajenci angielski i amerykański czuwają, aby zabierać wyborowe towary do Londynu i New-Yorku.

Ztamtąd udaliśmy się na zwiedzenie świątyni pięciuset bóstw czyli cnót, która z pozorów, zdaje się dość ubogą. Posągi bóstw są z brązu, rozstawione na postumentach, jakby w jakiem muzeum, co z przyczyny ich wielkiéj liczby malowniczo wygląda. Niektóre z bóstw są niezmiernie wyraziste, mają bowiem oznaczać jakiś przymiot lub namiętność. Jeden naprzykład przedstawia żołnierza zabierającego się wydrzeć sobie serce na dowód, że jest gotów umrzeć za ojczyznę. Główne bóstwo przed którem ciągle palą się kadzidła, jest olbrzymią majestatyczną figurą, laną z brązu, a przedstawiającą jednego z cesarzów drugiéj dynastji, który jest miany za wielkiego dobryczyńcę Chin. Za tym posągiem znajdował się obraz przedstawiający w trzech postaciach: przeszłość, teraźniejszość, i przyszłość. Wewnątrz murów téj olbrzymiéj świątyni, znajduje się jeszcze pagoda i mnóstwo innych budynków. Proszono nas abyśmy odwiedzili arcykapłana, który nas przyjął w przepysznym apartamencie, niezliczoną liczbą ukłonów; zaprosiwszy nas siedzieć, kazał podać herbatę i konfitury. Chińczycy piją herbatę prawie wrzącą i nie używają ani cukru, ani śmietanki, nam też wypadało połknąć ją tak samo. Mieliśmy z sobą butelkę wina Sherry i poczęstowaliśmy niem starca, który chętnie szklaneczkę wychylił, lecz drugi duchowny odmówił, i objaśnił nam przez tłumacza, że się boi upić.

Po nader grzecznem pożegnaniu z duchownemi, wróciliśmy do lektyk naszych, które już otoczone były gromadą ludzi czekających aby się nam przypatrzeć. Wprawdzie usłyszałem dwa razy z cicha wymówione słowo, jakiem zwykle lżą cudzoziemców: *cudzy djabeł*, ale zresztą żadna nas niegrzeczność nie spotkała i owszem uśmiechano się do nas przyjaźnie i kłaniano bardzo nisko. Zwróciła moją uwagę swoboda, dobry humor mieszkańców, a szczególniéj ta okoliczność, żeśmy nie spotkali nikogo pijanego. Co zaś do zdrowia, jakie zachować się może wśród tych ulic ciasnych i błotnistych kanałów, zawalonych kupami śmieci, to już wyznaję, że nic nie wiem. Zdawałoby się że febry i tyfusy bywają częstemi gośćmi w tych domach rozsypanych na rzece i po jéj brzegach, że blade tylko twarze ukazywać się winny, tymcza-

sem mimo wszystko, kantonczycy wyglądają tłusto i świeżo. Według statystycznych obliczeń Kanton wcale nie jest nawiedzany częstszemi epidemjami i większą śmiertelnością, niż które z miast europejskich mianych za najzdrowsze. Dałby Bóg, żeby w fabrycznych miastach Anglji lub Niemiec, ludność pracująca wyglądała tak kwitnąco.

Ach! gdyby można, powiedzieliśmy do siebie, choć na jeden tydzień chińczykiem zostać, z tak wygoloną głową i długim warkoczem siedzieć przed drzwiami sklepu, gwarząc tym niezrozumiałym dla nas djalektem, paląc fajeczkę, lub kurząc opjum. Gdyby można mimo wszelkich przeciwności tak szczęśliwie jak oni wyglądać, zgłębić to tajemnic pełne życie społeczne, gdzie uczucia, myśli, poglądy polityczne, religja, literatura, słowem całe życie towarzyskie, tak jest różne od tego co widzimy w Europie.

W mieście mającém półtora miljona mieszkańców w którém cała męzka ludność raz wraz goli głowy, cyrulicy ważną grają rolę; intratne to jest rzemiosło, które się wykonywa wszędzie: na rogach ulic, w oknach, we drzwiach sklepu, słowem gdziekolwiek znaleść można jaki kącik maleńki.

Ze świątyni pięciuset bóstw, udaliśmy się do świątyni *długiego życia*, przed której drzwiami stoją cztery kolosalne posągi. Twarz jednego była zielona, drugiego bladożółta, trzeciego czarna, a czwartego czerwona. Nasz przewodnik opowiedział nam, że olbrzym z czerwoną twarzą, trzymający miecz w swéj prawicy, wyciągnie ją i zetnie głowę całéj ludzkości. Zdaje się, że ten co to mówił, był jakiś wolno myślący między chińczykami, dodał bowiem, że tak piszą w książkach, ale głupiby temu wierzył.

Wewnątrz świątyni paliło się światło przed wielkiem bożyszczem, którego rysów jednak dla ciemności dojrzeć nie można było. Ciekawiśmy byli wiedzieć, co też o tym bogu myślą i zapytaliśmy się, gdzie on mieszka? odpowiedział nam przewodnik że: w Mongolji czy w Japonji, dobrze o tem nie wiem, komu syn zachoruje przychodzi się modlić przed tym wizerunkiem.

Ztamtąd udaliśmy się do świątyni będącéj zewnątrz miasta, i zobaczyliśmy przypadkiem bardzo dziwną ceremonję. Raz w rok mandaryni w uroczystéj processji udają się do wszystkich świątyń, i to cośmy widzieli, było niejako próbą tego obchodu. Na drewnianem wyniesieniu stało czterema rzędami około pięćdziesięciu myżczyzn i chłopców, bogato ubranych w niebieskie jedwabne suknie; każdy z nich trzymał w ręku bambusową trzcinę, na któréj osadzone było pióro, w drugiéj jakiś instrument, flet przypominający. W oddaleniu była muzyka, po któréj zachęcającym wstępie, stary mandaryn schwycił za parasol i wyrzekł głośno kilka słów, zdających się być jakąś komendą; na to piędziesięciu pobożnych pokłoniło się w prawo, w lewo i naprzód, i na jego wezwanie, czynili to w takt machając lekko piórami osadzonemi na bambusowéj trzcinie. Niektórych poruszenia były zgrabne, ale innych tak śmieszne, że trudno nam było zachować twarz poważną. Wyciągali daleko swoje trzciny, kołysali się na palcach lewéj nogi, a swoje czerwone flety przykładali do nosa, tak jak robią nasi urwisy, gdy komu chcą finfę pokazać. Były to jakby usiłowania, żeby zachwiać całe rusztowanie i wszystkich i wszystko na jedną kupę na ziemię zwalić. Obawiając się żeby to do skutku nie przyszło, wróciliśmy do lektyk naszych, a uwaga publiczności rozdzieliła się między nas i mandarynów. Nasi tragarze jakkolwiek porządnie spoceni, szli ciągle z dobrą miną, przez ulice miasta. Po przebyciu rzeki doszliśmy do naszego mieszkania, zobaczyli nareszcie gospodarza, który nas przywitał bardzo grzecznie i wynurzył tylko żal, że jego piwnica nie tyle zaopatrzona, aby nas mógł szampańskiem winem poczęstować. Mieliśmy jeść obiad na drugiéj stronie rzeki, u jego przyjaciela, popłynęliśmy więc tam wśród najstraszniejszéj burzy jaką kiedykolwiek dało nam się widzieć. Błyskawice następowały po sobie tak często, że widnokrąg wyglądał, jakby cały w ogniu. Z tego huku i błysku nikt tam sobie nic nie robił. Dano obiad i jedzono go najspokojniéj, chociaż zdawało się, że od grzmotów i piorunów dach się na nas zawali. Następnego dnia musieliśmy powracać do Hong-Kong z żalem, żeśmy jeszcze wiele osobliwości miasta Kantonu nie widzieli.

PRZEGLĄD LITERATURY.

(Dokończenie).

Następnie rozwija Buckle teorję różnic między indukcyjnem a dedukcyjnem badaniem, która jakkolwiek z wielką zasadnością przeprowadzona i do właściwości tematu zastosowana, nie ma jednak odnośnie do wpływu kobiet na rozwój wiedzy, bezpośredniego stosunku. Ważniejszemi nierównie wydają nam się wnioski Buckla w końcu rozprawy przed-

stawione, które godnemi są bliższéj uwagi ze względu na nowość i świetność poglądu autora.

Skłonność mężczyzn do indukcyjnego badania t. j. od faktów do pojęć przechodzącego, zdaniem Buckla, jest wielka i jednostronna, lecz bez wpływu kobiet byłaby jeszcze większą i wyłączniejszą. I teraz jesteśmy empirykami i obecnie jesteśmy niewolnikami faktów, lecz gdyby nie kobiety, niewola ta byłaby jeszcze większą, jeszcze haniebniejszą. Treść ich myśli, kierunek mysłowości, ich poglądy i wpływ, niewidzialnie rozpościerają się i przenikają do głębi społecznego życia. Wpływ kobiet więcéj niż wszystkie inne przyznaje, że znakomici ludzie zwykle mają matki znakomite umysłem, a nie wielu zgodziłoby się na to, że zwykle znakomici ludzie, mają znakomitych ojców? Jeśli umysłowe zdolności odziedziczają się po jednéj ze stron, to dla czegożby nie miały się odziedziczać po stronie drugiéj? Wątpić jednak należy, ażeby umysł mógł, nakształt sukcesji, przechodzić z jednego pokolenia na drugie. Przyjąć raczéj potrzeba co do stosunku jaki zachodzi pomiędzy umysłem ludzi genjalnych a umysłem ich matek, że działanie mające rzeczywisty wpływ na umysł, następuje po urodzeniu, gdy układ myśli właściwy jednéj płci, dopełnia i ulepsza układ myśli, właściwy płci drugiéj. Niewidocznie i od najpierwszych chwil zawiązuje się ścisły i wzajemnie drogi węzeł, pomiędzy dedukcyjnym umysłem matki, a indukcyjnym umysłem jéj syna. Wyobraźnia matki łagodząc i zarazem podnosząc umysł chłopczyka, niepozwala mu zająć się drobiazgami do czego zawsze jest skłonny zimny rozsądek. Wyobraźnia matki pozbawia go zbytniego chłodu i prozaicznéj szorstkości, a tym sposobem rozmaite własności i zdolności umysłu rozwijają się z harmonją, która inaczéj byłaby niemożliwą. Oto jakim sposobem samem działaniem przywiązania, człowiek dochodzi do pełnego, doskonałego rozwoju i dojrzałości umysłu. Oto jakim sposobem najczulszy,



Kanał w Kantonie.

czynniki razem wzięte unosi nas w świat idealny, podnosi z prochu w którym skłonni jesteśmy pełzać i rozwija w nas te zarodki wyobraźni, których nie są pozbawione w pewnym stopniu nawet najleniwsze i najnieczulsze umysły. Ten uderzający fakt, że wielu bardzo genjalnych ludzi miało znakomite matki i że odziedziczyli oni daleko więcéj po swych matkach niż po ojcach, ten dziwny i niezaprzeczony fakt, najlepiéj, zdaniem Buckla, objaśnia wyłożone poprzednio poglądy o ich wpływowem działaniu. Niektórzy powiedzą, że to jest wynikiem dziedzicznego przekazywania charakteru z rodzica na dziecko. Lecz gdyby tak było, to dla czegoż każdy

najświętszy i najwznioślejszy węzeł, do jakiego zdolną jest nasza natura, staje się narzędziem popychającem naprzód naszą wiedzę i przysposobieniem do odkryć wielkich prawd. W następnéj kolei życia, często powstają inne stosunki, które nie przestają działać w podobnymże kierunku. I pomijając niektóre wyjątki znajdujemy rzeczywiście, że większość znakomitych ludzi ulegała znacznemu wpływowi kobiet nie tylko we względzie uczuć swoich, lecz także i we względzie umysłowego kierunku. Co więcéj, mężczyzni nie ulegający wpływowi kobiet, okazują jakiś

Poglądy te przekonywające, wiele rzucają światła, nawet na obecny stan umiejętności.

Zarzucano Bucklowi, iż pisma jego na wskroś przeniknięte są pewnym chłodem rozumowym, który, obok zalet i stron dodatnich jakie przedstawia, odejmuje wszelkiéj pracy nad zagadnieniami społecznemi ów urok wyższego polotu i ciepła. Pogląd jednak Buckla na nader ważną kwestję, jaką jest połączenie poezji z umiejętnością ścisłą, najwidoczniéj okazuje, iż zarzuty te jeśli nie są płonnemi, to przynajmniéj w znacznéj części dadzą się zredukować.



Wnętrze pagody chińskiéj.

brak i nienormalność w rozwoju umysłu. Napotykamy w samym ich genjuszu, jakiś chłód myśli i nie znajdujemy w nich tego jasnego światła, tego bystrego i samodzielnego charakteru, które są nieodłączne od naszego pojmowania genjuszu.

W ten sposób przeprowadzając myśl główną, na przykładach wykazuje Buckle o ile wpływy kobiet, a raczéj wpływ metody jakiéj w sądzeniu o stosunkach tego świata używają, bezwiednie oddziaływa na wielkich myślicieli, a tem samem pośrednio i na sam rozwój wiedzy ludzkiéj.

Sądzą niektórzy, powiada Buckle w końcu swéj Historji cywilizacji, iż poloty fantazji poetom właściwe, dalekiemi być powinny od każdego badacza umiejętności ścisłych. W Anglji zwłaszcza, panuje mniemanie, iż poezję należy zupełnie od umiejętności oddzielić, uważając te dwa czynniki nietylko za wprost sobie przeciwne, ale i wyłączające się wzajemnie. Pomiędzy temi badaczami, których pilność i talenta, wyższemi są nad wszystkie pochwały i którym nieskończenie wiele zawdzięczamy, panuje bezwątpienia silne mniemanie, że dla ich zawodu fantazja, nader

jest niebezpieczną, gdyż prowadzi do spekulacji bez żadnéj podstawy, wytwarzając pragnienie do zbyt szybkiego wnioskowania o rzeczach dalekich, zanim przestrzeń dokładnie jest wymierzoną. Nie można zaprzeczyć, iż na dnie każdéj fantazji ten zamiar spoczywa. Lecz, zdaniem mojem, ci którzy w ten sposób rzecz pojmują i poezję od umiejętności odłączają, zbyt ograniczenie uważają działalność ludzkiego ducha i sposób zbadania prawdy. W poezji spoczywa boska i prorocza siła, wniknienie w bieg i istotę rzeczy, które przy właściwem zastosowaniu, czyni poezję sprzymierzeńcem a nie wrogiem umiejętności. Poeta obserwuje naturę ze stanowiska uczucia, badacz ze stanowiska rozumu. Ale uczucie o tyle należy do naszéj istoty, ile rozum; oboje zarówno są prawdziwemi i niezaprzeczenie słusznemi. Jakkolwiek ich punkt wyjścia jest rozmaity, niemniéj jednak dowolnym nie jest. Posłusznemi stałym prawom będąc, postępują jednostajnym, z góry nakreślonym biegiem, mają swoją właściwą logikę i metodę wnioskowania. Twórczość jest częścią organiczną myślenia, po prostu dla tego, że jest częścią składową naszego umysłu. Mąż ściśléj wiedzy, gardząc jéj zasadami, sam sobie szkodę przynosi. Posiłkuje się tylko połową swéj broni, arsenał jego nie jest uzupełnionym. W tym stanie może czynić zdobycze, ale naturalna jego siła nie może zaradzić brakom uzbrojenia. Powodzenie jego byłoby szybszem i dokładniejszem, gdyby był należycie zaopatrzony i przygotowany do boju. Zmuszonym jestem przeto uważać za najgorszy symptomat w myślicielach méj wielkiéj ojczyzny to, com się ośmielił nazwać niedostatecznem ukszatałceniem w jéj naturalistach, brak, dający się uczuć zarówno w ich pismach jak i w kierunku ich ducha. Tem godniejszem jest to uwagi, że zważając na dobrodziejstwa, jakie na nas zlewają i wpływ jakim się cieszą i wywierać będą w przyszłości, stanowią oni najznaczniejszą klassę społeczeństwa w Anglji. Nie można jednak zaprzeczyć temu, że badacze ci nienależną cześć żywią dla doświadczeń, niewłaściwą skłonność mają do drobnych szczegółków i wysławiania wynalazców częstokroć nic nieznaczących faktów i przyrządów, w niestosownéj mierze. Poprzednicy ich w XVII stuleciu, jeśli ówczesny stan umiejętności pod uwagę weźmiemy, większych, swem śmiałem stosowaniem hipotez i puszczeniem wodzy fantazji, dokazali rzeczy, aniżeli nasi współcześni, większemi mogący rozporządzać środkami. Znakomite teorje Newtonów i Harveyów, nigdyby się w naszem stuleciu, gubiącym się w zaklętem kole spostrzeżeń i experimentów, urzeczywistnić nie dały. Doprowadziliśmy do tego, że fakta jakie posiadamy występują po za kres naszego poznania, stając się mimowoli jego ciężarem. Pisma naukowych zakładów naszych i mężów nauki, do zbytku są przepełnione nieskończenie drobnemi fakcikami, mącącemi tylko sąd o rzeczy i dla pamięci niedostępnemi. Napróżno żądamy uogólnienia i uporządkowania ich. Nawał fakcików bezustannie wzrasta. Potrzebujemy myśli, a otrzymujemy natomiast ciągle nowe fakta. Słyszymy bez przerwy co czyni natura, a rzadko co człowiek myśli. Niezmierną pilnością bieżącego i zeszłego stulecia przyszliśmy do posiadania olbrzymiéj, niepowiązanéj ze sobą massy faktów, która jednak dla braku porządkującéj ją idei jest dla nas zupełnie bezużyteczną. Najskuteczniejszym przeciwko temu środkiem byłoby dopuszczenie większego dla fantazji wpływu i zapewnienie duchowi twórczości, obok ducha umiejętności ściśléj, obywatelskiego stanowiska. Przez to samo już zwiększyliby uczeni nasi swe środki, zamiast połowicznego jakto dziś ma miejsce bojowania. Obawiają się fantazji dla jéj skłonności do zbyt szybkiego tworzenia teorji. Lecz do zbadania prawdy, powinniśmy wszystkich nam danych używać zdolności, a rzucenie anatemy na jedną stronę ludzkiego ducha, nie może być usprawiedliwionem. Nie śmiem nawet wątpić, że najgłówniejszą przyczyną olbrzymiego rozwoju umiejętności i odkryć w XVII wieku było, iż wiek ten był zarazem szczytem poezji angielskiéj. Największemi umysłami jakie Anglja wydała byli Schakespeare i Newton; że zaś Schakespeare Newtona poprzedził, jest zdaniem mojem wielemówiącym a nieprzypadkowym faktem. Schakespeare i poeci rzucili ziarno, którego plony zebrali Newton i myśliciele. Porzuciwszy stare scholastyczne i teologiczne wysiłki, zwrócili się do natury i stali się w rzeczy saméj założycielami nauk przyrodzonych. Uczynili więcéj nawet, bo zaszczepili w umysłowości angielskiéj śmiałe i podniosłe myśli. Nauczyli mężów swéj epoki sięgania za niewidzialnem, nauczyli ich tęsknoty za ideałem i wznoszenia się pod nad widomy świat zmysłów w niedościgłe sfery badania. Pobudziwszy uczucie, utorowali tem samem drogę do prawdy. Popęd przez nich nadany, przeżył ich epokę i dał się uczuć jak wszystkie wielkie poruszenia we wszystkich sferach umiejętności. Dziś zniknęły te objawy, a jeśli się nie mylę, bez żadnéj dla nauk korzyści. Od XVII stulecia począwszy, nie mamy już żadnego wielkiego poety, jakkolwiek Shelley, gdyby był przy życiu, niewątpliwie byłby nim został. Było w nim coś z owéj płomiennéj namiętności, z owego świętego ognia zapalającego duszę, jakby z ołtarza bogów zestąpił; ale w kwiecie wieku, w chwili gdy świetny gieniusz jego budzić się począł, stra-

ciliśmy go na zawsze. Z wyjątkiem jego niedojrzałych wprawdzie, ale świetnych porywów, można powiedzieć, że Anglja od lat dwunastu nie wydała żadnéj poezji, któraby na sobie niepożyte piętno gieniuszu nosiła, jakto widzimy w Spencerze, Schakespearze i Miltonie. Skutkiem tego, nie jesteśmy dziś w stanie, napawać się do tyla co im współcześni nieśmiertelnemi utworami temi, gdyż oddaleni tak wielką przestrzenią od źródła fantazji, która naszych przodków udziałem była, nie możemy wżyć się niejako w uczucia wieszczów, żyjących w czasie, gdy wszystkie poglądy a tem samem wszystkie źródła uczucia, odmiennemi były od tych, jakie dziś panują. Piękna poezja angielska XVI i XVII stulecia, częściéj dziś niż kiedykolwiek czytaną bywa, ale nie barwi ona już myśli naszych, nie kształtuje już ducha naszego, w tym stopniu w jakim ducha przodków naszych urabiała. Między nami a nimi nieprzebyta leży przepaść, któréj wypełnić nie możemy. Oddaleni od zakresu myśli wśród którego te poezje powstały, nie możemy przejąć się ich rzeczywistością i jasnością celu, jakbyśmy tego dostąpić mogli, żyjąc w epoce powstania tych utworów. Szata ich jest nam obcą i do innéj należy epoki. Nie tylko ich mowa i kostium, ale cała ich istota i najwewnętrzniejsze myśli, głoszą o zamierzchłych chwilach, których uchwycić nie jesteśmy zdolni. Bezwątpienia ukształceńsi z pośród nas barwią swój umysł literaturą przeszłości, mogą nawet smak swój doskonalić i rozszerzać zakres swych pojęć. Ale prawdziwa oświata wielkiego narodu, z któréj każde pokolenie czerpie swą siłę, polega na tem, co od bezpośrednio poprzedzającéj generacji się przejmuje. Kres zetknięcia się bezpośredniego mamy w ojcach naszych, a nie w dziadach. Z niemi to rzeczywiście jesteśmy spokrewnionemi; pokrewieństwo to udziela się darmo, nie wymaga żadnych wysileń i trudno się z pod niego wyzwolić. Dziedziczymy po nich pojęcia, zmieniając je tak samo, jak ojcowie nasi, pojęcia swych przodków zmienili. Z każdą odmianą idącą po sobie, coś się zatraca i coś przybywa, tak, że w końcu typ pierwiastkowy w zupełności ginie. Z tego względu idee przez rozmaite żywione pokolenia zostają do nas w tym samym stosunku, co idee w zupełnie obcéj przechowane literaturze. W obu razach idee te, mogą zdobić ducha naszego, ale nie wcielają się do tyla w nasz umysł, by same tylko jego wiedzę stanowić mogły. Przetrawienie ich jest trudnem, gdyż współczucie nasze zostaje niedoskonałem. Nie mamy wielkiego poety, a niedostatek ten nie da się zrównoważyć względem, żeśmy takowych posiadali, że ich dzieła czytać możemy i czytamy. Ruch przeminął, urok został stracony, węzeł łączący nas z niemi, jakkolwiek nie zerwany, znacznemu uległ osłabieniu. Stulecie też nasze, mimo swojéj przewagi, większéj pod każdym względem od widzianéj dotychczas w świecie, mimo swych podniosłych i szlachetnych uczuć, tolerancji bez granic, mimo swéj miłości swobody, rozrzutnéj, prawie wyuzdanéj dobroczynności, nosi na sobie charakter materjalizmu, nie bohaterstwa, nie fantazji, który nie jednego, zastanawiającego się nad tem, obawą o przyszłość przejmuje. O ile zdolny jestem pojąć nasze obecne położenie, nie dzielę tego przekonania i sądzę, że dobro przez nas zyskane, bez porównania jest większem od złego, któreśmy utracili; żeśmy jednak doznali straty, wątpliwości nie ulega. Utraciliśmy wiele fantazji, często wprawdzie w praktyce na bezdroża wiodącéj, ale w życiu duchowem niezbędnéj, i jako najcenniejszy dar Boży, twórczo działającéj. Nawet w praktyce powinnibyśmy ją pielęgnować, gdyż wymiana uczuć na tem polega. Mimo to chyli się ona ku upadkowi, a wraz z kształceniem się towarzystwa przyzwyczajamy się do hamowania swych uniesień aby innych nieprzyjemnie niemi nie razić. Że jednak gra uczuć, głównem studjum jest dla poety, przeto i w tem upatrujemy źródło trudności, dla czego dzisiejsi poeci mierzyć się z dawnemi nie mogą. Z tego względu podwójnie koniecznem jest dla badaczów pielęgnowanie fantazji. Jest obowiązek względem ich własnéj umiejętności zaciągnięty, przez takie bowiem wzbogacenie środków, zyskuje ona na sile i wpływie. Niemniéj jest to obowiązkiem względem społeczeństwa w ogóle, gdyż będąc jedynemi przewodnikami na polu ducha i głównymi czynnikami postępu, powinni zaradzić niedostatkom naszéj epoki i wynagrodzić nam choć w części to, że nie możemy z siebie wytworzyć tak świetnéj jak przodkowie nasi literatury, literatury któréj najświetniejsze nasze umysły przewodniczą i w któréj główne obrały siedlisko.

Dzieła i rozprawy Buckla pozostaną dla bogactwa szczegółów i nowości poglądów, jednem z najznakomitszych zjawisk tegoczesnéj literatury. Wpływ niezmierny jaki, wywarły, uwydatnia się już dziś w wielkiéj liczbie dzieł w Niemczech i we Francji pod ich wpływem napisanych. Nie wątpimy, że wpływ ten nie pozostanie bez śladu i w literaturze naszéj, dziś zwłaszcza, gdy umysły badaczy trzeźwiéj na zdobycze naukowe przeszłości zapatrujące się, szukają drogi dla przeprowadzenia stanowczéj, na polu historycznéj wiedzy reformy. *Al. K.*

— Mamy już i książkę którą Wystawa powszechna zrodziła, książkę nakreśloną śmiałemi i wymownemi rysami, która ma na sobie wybitną cechę naszych czasów. Każdy w niéj artykuł odmiennie kreśliło pióro, a wezwano do téj roboty ludzi znanych z talentu lub nauki. Tytuł jéj: *Guide de Paris.*

Ten *Przewodnik po Paryżu*, którego dopiero pierwszy tom nadszedł do Warszawy, jest czemś więcéj niż zwyczajnym przewodnikiem; zawiera w niektórych swoich szkicach nietylko historję, ale i filozofję historji. Wiktor Hugo napisał do niego w charakterze wstępu, wizję przyszłości, zaczyna bowiem: „W XX wieku zobaczymy naród nadzwyczajny ect. ect." gdzie nam obiecuje między innemi, że swoboda serca ludzkiego będzie szanowaną tak, jak swoboda jego umysłu, uczucie bowiem jest tak święte i nietykalne jak myślenie. Znany jest styl potężny Wiktora Hugo, gdzie mistrzowskim rysunkiem widzimy nakreślone obrazy pełne poezji i przenikające prawdą; jest w nim poryw, gwałtowność i jednocześnie słodycz wyrażeń, słowem pędzel z pod którego raz bucha ogień, a inny raz znowu sypią się wdzięczne kwiatów równianki. Dla tego też tak trudno oddać go, w całéj prawdzie, w tłomaczeniu.

„Paryż jest przepaścią, (powiada Hugo) jego historja, to mikrokosmos historji ogólnéj—przeraża niekiedy; spojrzenie w głąb téj przepaści daje zawrót głowy. Nic bardziéj fantastycznego, nic tragiczniejszego i wspanialszego zarazem. Dla Cezara, jest miastem granicznem; dla cesarza Juljana, to tylko dom wiejski; dla Karola W. szkoła, do któréj zwołuje uczonych z Niemiec, a śpiewaków z Włoch; dla Hugona Kapeta, to zamek rodzinny; dla Ludwika VI, jest portem, gdzie cło opłacają; dla Filipa Augusta fortecą; dla Sgo Ludwika kaplicą; dla innego Ludwika (le Hutin) szubienicą; dla Karola V, bibljoteką; dla Ludwika XI, drukarnią; dla Franciszka I, miejscem pohulanki; dla Richelieu'go, akademją. Paryż jest dla Ludwika XIV, miejscem sądów i spraw; a dla Bonapartego placem wojennym. Początek Paryża odpowiada schyłkowi Rzymu. Marmurowy posąg rzymskiéj matrony zmarłéj w Lutecji drzemał dwadzieścia wieków zanim go wyjęto przy kopaniu ulicy Montolon. Paryż jest nazwany miastem Juliusza przez Boecjusza. Możnaby powiedzieć, że Tyberjusz położył pierwszy kamień na fundamenta kościoła Notre-Dame. On bowiem wskazał, że to miejsce dobre jest na świątynię i polecił wznieść ołtarz bogowi Cerrennos i bykowi Ezusem zwanemu. Na górze S-éj Genowefy, czczono Merkurego; na wyspie Louviers boginię Izys; na ulicy de la Barillerie, Apollina i Djannę; a tam gdzie dziś zamek tuilleryjski—Karakallę!"

Przeszedłszy przeszłość Paryża, zbierając ciągle przeciwieństwa wypadków minionych z dzisiejszemi, Wiktor Hugo tłomaczy powody przewództwa Paryża nad innemi miastami, oraz jakie jest jego zadanie. „Paryż nie jest miastem, jest rządem. Ktokolwiek jesteś, widzisz przed sobą mistrza; wyzywam cię, czy będziesz śmiał nosić. inny kapelusz jak paryzki? Wstążka téj oto kobiety, co tam przechodzi, jest wszechwładną; we wszystkich krajach sposób w jaki ta wstążka jest zawiązana, jest prawem. Ktoś kto był w Tombuktu opowiada, że na chatce murzyna, wyczytał napis: *na wzór paryzki!!...* I daléj... „Zadaniem Paryża jest rozpowszechnienie myśli, rozsypywanie po świecie prawd wszelkich, oto jest jego obowiązek i spełnia go. Spełnienie zaś obowiązku jest prawem."

„Paryż jest siewcą. Gdzież on sieje?— w ciemnościach. Co sieje?—iskrę. To wszystko co w umysłach znajdujących się w różnych punktach ziemi zapala się i błyszczy, jest dziełem Paryża. On to rozdmuchuje wspaniały pożar postępu. Nad tem dziełem pracuje bez wytchnienia rzucając weń, jako materjał palny, zabobony, fanatyzmy, nienawiści, głupstwa, uprzedzenia! Wszystkie te ciemności dają płomień, który dzięki Paryżowi, co niezmordowanie podsyca ten stos wzniosły, unosi się i w światło przemienia i ztąd tryska szerokie, rozległe oświetlenie umysłu."

Widzimy, że tym oryginalnym obrazom nie brak francuzkiéj zarozumiałości. „Po co te ludy przybywają do Paryża? pyta w innem miejscu; przybywają, aby się stać Francją. Można dokonać tranzfuzją krwi w żyły człowieka, a tranzfuzją światła w ducha narodów. Przychodzą zaciągnąć się pod sztandar cywilizacji; pragną zrozumieć! Te oczy przesycone ciemnościami przybywają, aby spojrzeć na prawdę." W innem miejscu powiada daleko wymowniéj. „Spotkania się są wzajemnemi objawieniami; przy spotkaniu bywa porozumienie, pociąg, zetknięcie się użyteczne i płodne w następstwa, pobudka do inicjatyw różnego rodzaju, odwołanie od zboczeń ku celowi, zjednoczenie wszystkich dążeń przeciwnych. Takie są korzyści widzenia się, że zeń wynika objaśnienie.......... Cóż to bowiem jest Wystawa Powszechna? Jest to świat w sąsiedzkiéj pogadance. Przychodzimy dla porównania ideałów, pozornie przeglądamy produkta, a w rzeczywistości utopje nasze. Każdy nawet produkt zaczął od tego że był chimerą. Było nią nawet to ziarno zboża, dla tych co się żywili tylko żołędzią."

„Marzyciel przygotowuje drogę myślicielowi. Rzecz mająca przejść w stan urzeczywistnienia to bezkształtna bryła, którą marzyciele dopiero modelować zaczynają. Ta wstępna robota zdaje się zawsze niedorzeczną.

Pierwsza faza od któréj zaczynają wszystkie rzeczy możebne, jest niemożebność. Ileż to szaleństw w fakcie się mieści! Koncentracja utopji jest jak koncentracja kosmiczna, z gazu staje się płynem, a z płynu ciałem stałem. W chwili kiedy utopja staje się możliwą do urzeczywistnienia, porzuca ją filozof a bierze mąż stanu, który występuje tu już jako drugi robotnik. Nic nie ma coby się niegdyś nie zaczęło wizją. Weźmy fakt najbardziéj pozytywny, a cofając się od wieku do wieku dojdziemy w końcu do jakiegoś proroka. Co też to był za dziwak ten Dyonizy Papin! uwierzyłby kto, że wrzenie w garku kiedyś świat przemieni!... Jak to z temi wynalazcami postępuje akademja nauk? Dziś powiada im że bredzą, a nazajutrz, że mają słuszność. Otoż to *nazajutrz* dla wielu rojeń już przyszło, i to właśnie dzisiaj stanowi bogactwo publiczne i ogólną pomyślność. To, za coby można w zeszłym wieku siedzieć w domu warjatów, dzisiaj znajduje honorowe miejsce na wystawie międzynarodowéj. Wszystkie utopje wczorajsze, idźcie patrzeć! zwą się dziś fotografja, telegrafja i t. d. i t. d.»

Następny artykuł nie mniéj zajmujący; historja Paryża przez Eugeniusza Pelletan, jest napisany ostrem, ognistem piórem, pełnem prawdy i życia; jest to szkic wypadków, które przygotowały nasze czasy; z najdrobniejszego faktu wyciągnięte jego moralne znaczenie. Aby dać czytelnikom wyobrażenie o pisarzu i jego stylu, przytoczymy tu ustęp o upadku możnowładztwa:

«.............. Naiwny mieszczanin Jakób Coeur nauczył króla bić monetę, a inny Jan Bureau rozwikłał ostatecznie trudności w używaniu artylerji, trzeci zaś, zapewne także mieszczanin, podszepnął Karolowi VII projekt trzymania stałego wojska, gotowego zawsze i wszędzie do walki.

«Dotąd możnowładzcy zamieszkiwali najwyższe szczyty, jak gdyby dla tego, ażeby ich nikt dosięgnąć nie mógł; urągali się też wszelkiéj władzy. Skoro jaki hardy baron spuścił się z góry w dolinę, ze swoją bandą i swym nieodstępnym rumakiem, zdawało się, że zabiera razem z sobą basztę swego zamczyska, basztę zredukowaną do miary jego osoby, w postaci jego zbroi żelaznéj. Tak to *szewalerja* nigdy nieuchwycona, niedosięgnięta, niewidzialna prawie, dosięgała drugich ilekroć jéj się to podobało. Lecz nareszcie kiedy baron spoczywa spokojny i ufny że go nikt dosięgnąć nie może, oto artylerzysta w lufę śmigownicy wsypał garść prochu i zatrzęsła się wieża feodalna; błyskawica zagrzmiała powtórnie, a stare mury runęły. Baron wydał krzyk i upadł razem ze swoim zamkiem. Był to ostatni dzień feodalności.

«Ludwik XI, przyszedł w samą porę, żeby ją dobić. Człowiek ten ze spiczastą brodą, z chytrym wzrokiem, przypomina szakala. Gdy w zastawione przezeń sidła wpadnie upatrzony łup, wysysa z niego krew i pożera go bez litości. Po czem robi znak krzyża Ś-go i całuje różaniec. Skoro już jak najgorliwiéj dokonał dzieła swego, ten terrorysta przerażony własnym strachem, usuwa się do swojéj nory, w *Plessis les Tours*, gdzie pobożnie umiera, wodząc w około siebie przerażonem okiem, jakby jego własne sumienie, przed terminem oderwane od osoby, sądziło już go, przypatrując się jego konaniu.»

Następuje pełno innych artykułów kreślonych przez znakomitości literackie. *Medycyna w Paryżu* przez sławnego Littre'go, lekarza filozofa, który poświęca się medycynie nie dla praktyki, lecz dla zbadania życia człowieka. Znakomity zakład wyższego nauczania zwany *Collège de France*, opisany przez Michelet'a, konserwatorjum sztuk i rzemiosł przez Laboulaye'go. Panteon przez Quinet'a i t. d. i t. d. Zaiste niepodobna z tego przewodnika nauczyć się historji i nie na wiele on się nawet przyda temu kto jéj nie zna, ale umysł stosownie przygotowany z takim doradcą, jak w mowie będąca książka, zrozumie snadniéj Francję i jéj rolę wśród dążeń cywilizacji.

St. W....

DWIE POTĘGI

Opowiadanie przez Ludwikę Mühlbach.—Przekład z niemieckiego przez K. R...

(Dalszy ciąg).

— Musisz pochwycić tę zręczność Mayer Anzelm:—bądź bogatym, następnie milionerem, dla chwały i wybawienia naszego ludu! Idź i powiedz Natanowi, że przyjmujesz jego propozycję co do spółki, i proś o rękę jego Racheli.

— Uczyń jak ci radzi Gudula, powiedział uroczyście Boruch. Głos Boży przemawia przez jéj usta do ciebie, serce jéj jest przepełnione miłością, ona ci radzi jak twój dobry anioł!

— O tak, ona mi poradziła jak mój dobry

anioł, powtórzył Mayer Anzelm lekko zdejmując jéj drobną rączkę ze swego ramienia i wyciskając na niéj gorący pocałunek. Gudula zadrżała i bladość śmiertelna pokryła jéj lica, lecz tego nie zauważył młody człowiek, stojąc pochylony nad jéj ręką i przyciskając ją do ust. Dopiero gdy ona wycofała nieznacznie swoją rękę zadrżał, jakby się ocknął ze snu ciężkiego.

— Więc jesteś tego zdania ażebym przystał na tę propozycyę? zapytał, lecz czy pomyślałaś o tem, że ja jéj nie kocham? Czy biorąc Rachelę za żonę, nie dla niéj saméj lecz dla jéj pieniędzy, postąpię w tym razie sprawiedliwie? czyż nie mogąc odpłacić jéj równą miłością, będę ją mógł uszczęśliwić?

— Ty ją uszczęśliwisz Mayer Anzelm, odpowiedziała Gudula, odwracając się od niego niby przypadkiem. Ona będzie szczęśliwą, gdyż ciebie kocha i będzie twoją. Bywaj zdrów Mayer Anzelm, mówiła daléj, prędko pakując chustki, które haftowała; mam jeszcze daleką drogę przed sobą i nie mogę tu dłużéj bawić. Jeżelibyś mógł zostać przy ojcu, to zrób to proszę cię.

— Nie, odrzekł powstając z miejsca, ja także muszę powracać do siebie. Mam tam jeszcze do uporządkowania i do przejrzenia dużo powierzonych mi ksiąg rachunkowych, muszę je jutro już odnieść, gdyż pewno więcéj ich prowadzić nie będę. Drobny zarobek skończył się, a wspólnik bogatego Natana będzie robił ważniejsze interesa. Bądźcie zdrowi ojcze Boruch, jutro kiedy się obaczemy wszystko już będzie skończonem; przedstawię się wam jako spólnik firmy Natana.

— I jako narzeczony jego córki Racheli, dodała Gudula zarzucając chustkę na szyję i zabierając się do wyjścia.

— A wtedy, rzekł Boruch wyniesiesz się zapewne z téj ciasnéj i brudnéj żydowskiéj ulicy, na którąkolwiek z przedniejszych głównego miasta, tam gdzie mieszkają nasi bogacze, okupisz za grube pieniądze, na wzór Natana, pozwolenie mieszkania między bogatemi Chrześcijanami!

— Nigdy tego nie zrobię! zawołał Mayer Anzelm z zapałem. Przeniewierzyłbym się memu narodowi i sobie samemu, wyglądałoby to, jakbym pogardzał jego upadkiem i jego ubóstwem, jak to czynią ci nierozsądni Chrześcijanie! Nie! między moimi współwyznawcami i między wami chcę żyć i mieszkać, dzielić dni szczęścia z wami, którzy dzieliliście ze mną dni mojéj niedoli.

A gdy się ożenię i wprowadzę moją żonę Rachelę do własnego domu, to spodziewam się, że wówczas i siostra Gudula nie będzie miała nic przeciwko temu, gdy was poproszę, abyście oboje zamieszkali u nas, jak ja sam niegdyś miałem zamiar u was się stołować, na co się jednak siostra Gudula nie zgodziła, sądząc że to nie wypada. Odkąd zaś będę miał żonę, nikt nie ośmieli się powiedzieć, że to nie wypada, żebyśmy razem mieszkali; każden będzie myślał że ja bardzo kocham moją żonę Rachelę, jak obaczy że stary Boruch, nie waha się mieszkać z swoją córką Gudulą w naszym domu.

— O tem późniéj pogadamy Mayer Anzelm, rzekła Gudula otwierając drzwi.—Muszę pospieszyć do hrabiny Tettenborn, która mieszka aż na Nowem mieście, po drugiéj stronie Frankfurtu. — Bywaj zdrów ojcze i ty bądź zdrów Mayer Anzelm.

Prędko wyszła z pokoju, lecz nim przestąpiła próg domu, już ją młody człowiek dopędził.

— Zaczyna zmierzchać Gudulo, rzekł on:— a ty masz daleką drogę przed sobą.—Nie bardzo bezpiecznie wieczorem na ulicy, mianowicie w naszych ciasnych zaułkach, gdzie zazwyczaj snuje się wiele podejrzanych ludzi, osobliwie odkąd Landgraf von Hessen powrócił z podróży do swojéj rezydencji w Hanau. Powiadają że on ma być bardzo płochych obyczajów, ten pan Landgraf, od tygodnia bawi w Frankfurcie!

— Wiem o tem—odpowiedziała mu Gudula spokojnie.

— Jakto!... Tybyś o tem wiedziała?

— Tak jest, widziałam go pozawczoraj u hrabiny Tettenborn. Byłam tam kiedy Landgraf nadjechał: hrabina kazała mi zaczekać dopóki on nie wyjedzie.

Więc zostałam i zaczekałam w fraucymerze. W tem zawołano mnie do salonu; młody Landgraf chciał się przekonać czy istotnie jestem podobna do tego obrazu, który on kupił pod nazwą „Żydowskiéj Królewnéj.»

— Niepowinnaś była wychodzić — zawołał żywo Mayer Anzelm.

— Dla czego? — zapytała, dumnie podnosząc głowę.

— Tak, — powiadają że ten Landgraf ma to być sławny Donżuan w swoim rodzaju, któremu żadna jeszcze dziewczyna niepotrafiła oprzeć się....”

— Otoż ja potrafię mu się oprzeć—odrzekła spokojnie Gudula.—Przecież nie wydrze mi mego serca? Bywaj zdrów Mayer Anzelm!

— Nie pozwolisz mi żebym cię przeprowadził do téj twojéj hrabiny Tettenborn? Ale, ale,—nigdy mi nie zdarzyło się słyszeć o téj damie; zkądże ty ją znasz?—Czy dawno już mieszka w Frankfurcie?

— Niedawno, dopiero od kilku tygodni.— Zawołała mnie sama do siebie, żeby poruczyć mi kilka robót do haftowania, a trzeba ci wiedzieć, że ona dobrze płaci. Byłam jéj poleconą przez baronessę Nimzwitsch. Żegnam cię Mayer Anzelm.

— Więc niechcesz żebym cię przeprowadził?

— Nie Mayer Anzelm, masz dużo do roboty, a czas to pieniądze!

To mówiąc odeszła prędkim i pewnym krokiem. Księżyc oświecał jéj smukłą i zgrabną figurkę, rzucając długi jéj cień przez ulicę.—Mayer Anzelm stał po drugiéj stronie i patrzał za odchodzącą, aż póki na zakręcie nie znikła mu z oczu. Potem zawrócił powoli i wszedł do nizkiego domku gdzie mieszkał na poddaszu.

— Trzeba było mnie jednak pójść za nią, rzekł sam do siebie zamyślony. Zanadto jest piękną żeby tak samotnie wychodzić wieczorem na miasto. Możebym i dobrze zrobił gdybym ją dopędził?.... Lecz nie!.... nie.... Gudula by mnie wyśmiała, a może i za złe wzięła?... Pomyślałaby sobie że ja niewierzę żeby potrafiła obronić się sama od jakiego natręta. A potem!... ma ona rację; czas to pieniądze! trzeba wziąść się do pracy!

I zasiadł przy chwiejącym się stoliku, na którym wysoko się piętrzyły ciężkie księgi rachunkowe i zaczął pracować. Lecz wśród roboty, niepokoiła go myśl, że Gudula udała się w tak daleką drogę sama jedna, aż na Nowe miasto, a gdy znowu wpatrywał się w roztwarte księgi, z nieskończoną ilością liczb i rachunków, widział ciągle przed sobą jéj duże, czarne oczy.

— Nigdy nie myślałem, żeby można tak się niepokoić o siostrę! — rzekł sam do siebie wzruszając ramionami.—Wielka to niedorzeczność z mojéj strony, wezmę się szczerze do pracy i nie będę już o tem więcéj myślał. Muszę przecię przepatrzeć te księgi jeszcze dzisiejszéj nocy. I rzucił się z zapałem do roboty, zagłębił się w liczbach, rachował i pisał niezmordowanie. Godzina upływała za godziną, już noc zapadła, wszelki ruch zamarł dokoła. Ubodzy mieszkańcy żydowskiego miasta udali się na spoczynek po trudach całodziennéj pracy.

Cieszyło się z tego pokoju serce Mayer Anzelma, i w duchu życzył wszystkim swoim jednoplemiennym braciom i siostrom dobréj nocy. Na chwilę wstał, by odetchnąć świeżem powietrzem, podszedł do okna, spojrzał niby przypadkiem na domek z przeciwka, a w rzeczy saméj, żeby i swojéj ukochanéj siostrzyczce Guduli, przesłać życzenia snu dobrego.

Rzecz dziwna! W tym domu niezgaszono jeszcze światła, w mieszkaniu starego Borucha paliła się jeszcze świeca. Mayer Anzelm ujrzał migający się cień na zawieszonych u okna firankach, lecz nie był to cień zgrabnéj figurki Guduli, nie.... on wskazywał otyłego mężczyznę. Więc to był ojciec Boruch, który tak niespokojnie przechadzał się po izbie? Musiało zajść coś nadzwyczajnego kiedy on dotąd jeszcze czuwa?

Mieszkając od lat trzech naprzeciw nich, wiedział Mayer Anzelm z doświadczenia, że równo z uderzeniem dziesiątéj, gasło światło w ich oknie i to było znakiem dla niego, że ojciec Boruch ze swoją córką udawali się na spoczynek. Obecnie wybiła już dwunasta na wieżowym zegarze, a Boruch jeszcze czuwał, jeszcze przechadzał się niespokojny po izbie.

— Cóż się stało z jego córką?... Ani razu niewidziałem jéj cieniu obok cienia jéj ojca!... Gdzieżby ona do téj pory bawiła?

Ledwo powtórzył swoje pytanie, a już odemknął drzwi, zbiegł prędko po schodach i odrazu znalazł się na ulicy. Postał chwilkę namyślając się jak ma daléj postąpić.

— Mniejsza o to, rzekł, kończąc głośno swoją myśl, mniejsza że mnie Gudula wyśmieje, wolę zawsze znieść to, jak dłużéj cierpieć taki niepokój. Pobiegnę do nich!

I jednym susem przeskoczył ulicę i mocno zastukał w okno.

Stary Boruch zerwał firankę i nim jeszcze zdołał otworzyć okno, zawołał radośnie.

— Czy to ty Gudulo!? Powróciłaś nareszcie?

— Więc ona jeszcze niepowróciła? zapytał Mayer Anzelm i w téj chwili uczuł jakby go kto ścisnął żelazną obręczą za gardło.

— To nie Gudula! wyjęknął stary, to tylko Mayer Anzelm!

— To ja jestem, ale wpuśćcie mnie ojcze Boruch, musimy naradzić się co nam wypada przedsięwziąść!

Okno pozostało zamkniętem, przeciągłe, powolne kroki zbliżały się do drzwi, odemknięto je i Boruch wpuścił młodego człowieka.

Mayer Anzelm wszedł milcząc do izby niezaniedbując zamknąć drzwi na klucz za sobą.

Dzikim, badawczym wzrokiem rzucał on w koło po pokoju, oświeconym dogorywającą lampką, jakby kogo szukał. Nareszcie zatrzymał swój wzrok na twarzy starego Borucha, który trzęsąc się ze wzruszenia, stał przed nim oniemiały.

— Jeszcze niepowróciła? zapytał młody człowiek.

— Sześć godzin mija jak wyszła z domu, odpowiedział stary, a dotychczas jéj nie ma.

— Pójdę za nią, przyprowadzę ją, rzekł młody człowiek z rezygnacją. Wskażcie mi tylko drogę, dokąd mam się udać ojcze Boruch, a ja wam przyprowadzę waszą córkę.

— Nieznam téj drogi.

Okrzyk boleści i gniewu wyrwał się z ust Mayer Anzelma. Nieznasz téj drogi Boruch? Niewiesz nawet gdzie twoja córka wychodzi o wieczornéj porze dla wyszukania roboty?... Złym jesteś ojcem panie Boruch!

Zaniedbujesz twoje dobre i piękne dziecko. Ona pracuje na wasze utrzymanie, dla was trudzi się i męczy się przez cały tydzień, a tego nawet niewiecie dokąd ona wychodzi!

Wyrzekł te słowa głośno i groźnie, twarz jego była smutną i bladą, usta drgały boleśnie.

Boruch patrzał na niego swoim ociemniałym wzrokiem, a ze strachu nie wiedział co ma odpowiedzieć na te gorzkie i sprawiedliwe wyrzuty młodego człowieka.

— Wprawdzie opisała mi... ona... mniéj więcéj... gdzie jest willa... w któréj mieszka hrabina Tetten....born wymówił bojaźliwie starzec.

— Gdzież? zapytał niecierpliwie Mayer Anzelm. Przypomnijcie sobie, Boruch, wszystko zależy od waszéj pamięci!

— Willa ta leży..... na Nowem mieście, po drugiéj strone Menu, odrzekł Boruch powoli, cedząc każde swe słowo, jakby szperał w pamięci. Mówiła mi Gudula, że w ostatnich czasach założono tam wiele nowych domków, ale willa hrabiny Tettenborn jest największą i najwspanialszą. Jest ona ostatnią po prawéj stronie, ma jedno piętro więcéj od innych, z tyłu rozciąga się wielki ogród, w środku którego wystawiony jest pawilon tak duży, że cała familja mogłaby w nim mieszkać wygodnie.

Wstrzymał w sobie oddech Mayer Anzelm, słuchał tego opowiadania z napiętą uwagą, z rozwartemi oczyma.

— Cóż więcéj? zapytał sucho, tonem rozkazującym, gdy Boruch skończył.

— Nic więcéj nie wiem Mayer Anzelm.

— I tego dosyć ojcze Boruch, dosyć żebym się mógł zorjentować. Znam Nowe miasto, a wyście mnie doskonale tę willę opisali. Przepraszam was ojcze Boruch, że zrazu tak ostro do was przemówiłem, lecz trwoga moja o Gudulę była tego powodem. Przebaczcie mi.

— Nie mam ci nic do przebaczenia Mayer Anzelm, przyprowadź mi tylko Gudulę żywą, niczego więcéj nie pragnę.

— Żywą! zawołał przestraszony, co to ma znaczyć ojcze Boruch?!... Czyż nie jesteście pewni że ona poszła do hrabiny Tettenborn?....

— Tak jest... to... jest... spodziewam się, odrzekł stary głośno łkając.

— Więc mogłaby zajść i gdzie indziéj?...

— Czy mogła?... ale nie... nie przypuszczam... niechcę nawet tego przypuszczać! Przemówiliśmy się trochę dziś wieczór, jakeś ty nadszedł. Byłem zły i gniewałem się na nią za to, że odrzuciła rękę bogatego kupca, który się o nią dziś oświadczył; połajałem ją i powiedziałem jéj coś, co ją mocno obeszło i zmartwiło. Zagroziła mi wtedy, że pójdzie i rzuci się do Menu, w jego nurt najgłębszy, a kiedym na nią spojrzał miała minę tak poważną, że wyrazu jéj twarzy zapomnić nie mogę.

— Cóżeście jéj powiedzieli takiego, że aż sobie chciała życie odebrać? powiedzcie mi.

— Niemogę Mayer Anzelm, właśnie gdym jéj zagroził że tobie powiem, zaklęła się, że się utopi. Lecz ona była świadkiem naszéj rozmowy i sama słyszała że ja ci nic takiego niepowiedziałem, mam zatem nadzieję że nie poszła topić się, nie; tego ona nie zrobi, musiała udać się do willi hrabiny Tettenborn.

— I ja ją wam ztamtąd przyprowadzę, Boruch, będę ją szukał wszędzie i bez niéj nie wrócę. Bywajcie zdrowi!

Wybiegł z pośpiechem na ulicę i popędził szybkim krokiem w danym sobie kierunku. Nie przyszło mu na myśl, że zostawił swoje mieszkanie otworem, że tam znajdował się jego ciężko zapracowany i starannie zaoszczędzony kapitalik, że na stole zostawił roztwarte księgi i pracę nieodrobioną; cały był zajęty odszukaniem Guduli, życie swojeby oddał w téj chwili, by ją wynaleść.

III.

Napaść i ratunek.

Noc była jasna, gwiaździsta, księżyc ze swéj wysokości oświecał naszego bohatera, biegnącego prawie bez tchu; długi jego cień rozciągał się daleko przed nim na ulicy, umykając z pod nóg, jakby mu pilniéj jeszcze było odszukać Gudulę. Na widok swego cieniu, ścisnęło się serce Mayer Anzelma, przypomniał sobie, że cień Guduli był ostatnią własnością do niéj należącą, którą jego oczy oglądały po jéj odejściu.

— A jeżeli razem ze swoim cieniem, pomyślał sobie w duchu i westchnął głęboko, znikła mi i ona na wieki?... Nie!... nie!... zawołał głośno; to być nie może, muszę ją wynaleść, muszę ją odzyskać;... bo...

Dla czego się zająknął?... Dla czego stanął w miejscu jak wryty?... Jakaż myśl zajęła go tak silnie, że aż zapomniał o swoim pośpiechu?... Dla czego stał wpatrując się w księżyc, jakby w jego tarczy szukał rozwiązania téj niepojętéj, nieprzeczuwanéj dotąd tajemnicy, która w téj chwili wezbrała w jego sercu? Cóż to było takiego, na co jego oko zabłysło, co twarz jego rozjaśniło, jakimś nadziemskim ogniem?... Czy odkrył nakoniec tę tajemnicę, która od tak dawna, kryła się przed jego własną obserwacją?... Czy nareszcie ból, trwoga, bojaźń z powodu możebnéj utraty Guduli, zdołały otworzyć mu oczy?

(Dalszy ciąg nastąpi).

Dodatek do Zeszytu XIV, Kółka Domowego 1867.



Objaśnienie kolorowéj ryciny mód.

Fig. 1. Suknia spacerowa o 2ch spódnicach, spodnia krótka do kostek, niebieska, obszyta temą wązkiemi falbanami, zwierzchnia w paseczki białe z czarnym lub popielatym, wycięta w zęby objęte niebieską materją a powyżéj niebiesko garnirowane. Bluzka biała muślinowa, a na wierzchu kaftaniczek z takiego samego materjału jak zwierzchnia suknia i podobnież ogarnirowany. Z przodu tak roztwarty, że daje widzieć pasek niebieski z kokardami na przodzie. Podobnież płaskie kokardy dają się widzieć na ramionach. Kapelusz słomkowy otacza girlanda z polnych kwiatów.

15 Lipca 1867 r.

Fig. 2. Suknia jedwabna blado żółta bez fałdów z wyciętym stanikiem i krótkiemi rękawami. Okrycie burnusowe z rękawami długiemi i kapturkiem z bardzo przezroczystego muślinu. Obwód jego wycięty w 5 płytkich przedłużonych zębów, ogarnirowanych muślinowemi falbankami lub koronką, idącemi w dwie przeciwne strony; w pośrodku zaś przeprowadzona wstążka ciemno-błękitna. Podobne garnirowanie widzimy idące przez szew środkowy na kapturku i na rękawach. Do tego biały czepeczek lub kapelusik.

Fig. 3. Suknia z jedwabnego bareżu w pasy lub kwiaty lila, gorsecik atłasowy lub z innéj materji jedwabnéj z długiemi baskinami obszytemi frendzlą z kryształowych grelotek. Pasek spięty na prawym boku rozetą, ozdobioną także kryształowemi grelotkami. Bluzka muślinowa z długiemi rękawami, cała ułożona w fałdeczki. U szyi koronka kilka razy obszyta, wązka zaś aksamitka lila związana z tyłu na długie końce.

Fig. 4. Suknia z dwoma spódnicami z fularu w jednym kolorze, dolna naszyta kilkoma pliskami z tego samego materjału, druga wycięta w tyle łuków, ile jest w niéj brytów, i na szwach przymarszczana patkami, naszytemi pasmanterją. Stanik gładki pod szyję, z wązkiemi rękawami i z stosownym paskiem, na to krótki paletot, z długiemi roztwartemi rękawami, obszyty pliskami i pasmanterją. Podobnież ogarnirowane są spadające na plecy szarfy. Kapelusz tiulowy biały, z różowemi różami. Rękawiczki jasne.

Fig. 5. Ubiór negliżowy do wód lub na wieś. Suknia z niewarowego płótna an białéj spódniczce, z karbowanemi falbankami, zapinająca się z przodu na białe guziki zębami także biało obszytemi.

Do téj spódniczki biała muślinowa bluzka przykryta kaftaniczkiem bretońskim z pąsowego kaszmiru, obszytym tureckiemi szlaczkami lub robionym w ręku szlakiem haftowanym, na białym kaszmirze różnokolorowemi jedwabiami. Przy tym szlaku przyszywają się ząbki, wycięte z białego sukna. Na głowie stosowne ubranie pąsowe. Parasolik z niewarowego fularu.

O UBIORACH.

Wypada nam dziś wspomnieć cokolwiek o letnich materjałach na suknie i deseniach, jakie są w nich panujące. Wszystkie fabryki francuzkie mianowicie liońskie, dały na wystawę wyroby wzorzyste, w wielkie arabeski i kwiaty w stylu Pompadour, jak to widzimy na portretach naszych prababek, a więc ten rodzaj deseni już się upowszechnia i w materjach lekkich. Przy bogactwie kolorów, jakie dziś mamy dzięki rozwojowi chemji, desenie te są nader piękne. Na większe ubranie używa się materja w większe kwiaty, na mniejsze, drobny rzucik stosowniejszy. Są prześliczne muśliny z rzucanemi na białem tle różami, wraz z ich liśćmi. Na innych widzimy znów gałęzie naparstnicy lub kwiat radodendronu; fantazyjnych też deseni w najpiękniejszych kolorach pełno.

Suknia z takiego muślinu robi się gładka, że zaś teraz mniéj na nią łokci potrzeba, kosztuje 12—13 Rs. bez roboty.

Są także bareże haftowane *np.* czarny z rzucikiem kwiatu nasturcji lub z gałązek zielonych. Taki bareż kosztuje od 18 do 22 Rs. Prześliczny jest, ale znacznie droższy bareż jedwabny czyli *grenadina* także haftowany. Do tańszych należą bareże supełkowe t. j. podobne do tych materjałów, używanych na suknie zimowe, które miały po sobie jakby przewlekane nitki innego koloru. Bareż taki dość gęsty kosztuje 40 kop. łokieć. Dostać można jeszcze tańszych bareży po 22½ kop łokieć u p. Włodkowskiego i te lubo mniej trwałe, mogą jednak służyć na bardzo ładną sukienkę, tembardziéj, że nie należą do tych łatwo się rozdzierających, jakie dawniéj bywały. Co do materji w pasy, to te jakoś popadły w niełaskę i zdaje się że na przyszłą zimę wcale się nie pokażą.

Chustki czarne z wełnianéj koronki lub też i innéj droższéj, kogo na nie stać, zawsze są w modzie i nie można stosowniejszego mieć okrycia do wspomnianych kwiecistych muślinowych sukien. Można także włożyć beduinę z białéj alpagi lub mantylę z białego muślinu, naszywaną wszewką koronkową podwłóczoną kolorową wstążką; zaczynają bowiem nosić mantyle na wzór tych, jakie dawniéj były w użyciu, t. j. krótsze z tyłu, a z przodu z długiemi końcami. Na dzień chłodniejszy krótki paltocik, czarny, jedwabny będzie dobry. Ubierają je teraz rodzajem liści wyrabianych z téj saméj materji, co nawet ma cechę wyższéj elegancji. niż naszycia dżetowe. Zapomnieliśmy dodać, że do większego ubrania, kładzie się do muślinowéj sukni szeroka szarfa jedwabna, stosowna kolorem do kwiatów stanowiących rzucik.

W magazynie p. Włodkowskiéj, oglądaliśmy suknię niezmiernie stosowną do rannych przechadzek u wód i na wsi. Była ona z cienkiego niewarowego płótna; (jest ono szerokie i kosztuje 75 kop. łokieć). Suknia ta, krótka do ziemi, miała szlak ułożony z takich samych plisek ukośnych, postawionych także ukośnie w pewnéj od siebie odległości i otoczonych wypuszczeniem cienkiéj czarnéj taśmy, podobnéj do tych, jakich używają do obszycia brzegów sukni. Po nad tym szlakiem, który zajmował nie wiele więcéj dołu spódnicy jak ćwierć łokcia, szły w poprzek dwie pliski, z czarném wypuszczeniem i przyszyte na osobnym kawałku materjału, tak, że figurowały drugą spódnicę. Podobne pliski szły od karku do połowy pleców paltotu, rozchodząc się w promienie; tak samo było i z przodu, a wierzch rękawów 5 plisek położonych ukośno w pewnych odległościach od ramienia do dłoni, ubierało. Perłowe guziki spinały paltot. Suknia ta skromna, choć trwała, kosztuje jednak z robotą 20 Rs.

W kapeluszach żadnéj odmiany. Do okrągłych przypinają często woaliki w rodzaju chusteczek, których środek spadając na twarz niedochodzi do brody, a dwa końce z tyłu się krzyżują. Widzieliśmy u p. Włodkowskiéj śliczny kapelusik z ryżowéj słomki, okrągły z małym renwersem z zielonego aksamitu; całe te rondko otaczała równianka lila dzwonków, których środki kryształowe, wyraźnie jakby rosą błyszczały. Równianka ta przedłużając się z tyłu, spadała na włosy i niezmiernie powabnie ubierała głowę.

Parasoliki najmodniejsze są koloru niewarowego, kolor podszewki do nich jest różny. Czarne lub białe koronkowe na jedwabnem podwleczeniu zawsze do najstrojniejszych należą; rączka do nich bywa zwykle kunsztownie wyrobiona. Nie potrzebujemy, zda się objaśniać, że się biorą tylko na większe ubranie i bynajmniéj nie przystoją do perkalinowéj sukni.

Ubranie damy na rysunku 1-éj stronnicy. Suknia wełniana, z materjału gładkiego, koloru Bismark (jasny kasztanowy). U dołu falbana z fałdami zaprasowanemi na jedną stronę, naśladująca drugą spódnicę. Po nad nią plisa jedwabna z ciemniejszego koloru rysuje spódnicę zwierzchnią i na lewym boku w ząb się podnosi. Trzy takież same pukielki zdają się podpinać tę spódnicę. Pasek i guziki zrobione także z owéj ciemniejszéj jedwabnéj materji, tudzież i pukielki idące rzędem wzdłuż rękawa. Kapelusz z pękiem kłosów i kwiatów polnych na wierzchu, podwiązany pod brodą warkoczem słomkowym i koronkową barbą.

Ubranie dziewczynki, z moheru lila, naszyte plisą udającą powtórną roztwartą spódniczkę, z tybetu tego samego koloru tylko znacznie ciemniejszego. Staniczek mocno wycięty w kanty jest krajany razem ze spódnicz-

ką. Szmizetka muślinowa biała dopełnia ubrania. Kapelusz słomkowy obszyty fałdowaną w pośrodku lila wstążką, w tem zaś miejscu gdzie jest szyte przechodzi wąska czarna aksamitka.

PRZEPISY KUCHENNE.

Zrazy cielęce z mózgiem po genewsku.

Włosi używają b. często mózg wołowy do przypraw kuchennych. Podajemy tu sposób zrobienia z niego farszu do zrazów. Mózg wołowy umyty w wodzie słonéj, miesza się po zdjęciu zeń skórki z połową bułki moczoną w mleku, 3ma rozbitami jajami, z solą pieprzem i siekaną pietruszką zieloną. Następnie kraje się z pieczeni cielęcéj duże lecz cienkie zraziki i posmarowawszy je tym farszem dobrze wymieszanym zwija w trąbkę i wiąże bawełną. Potem rozpuszcza się masło w płaskim rądlu i zrazy rumieni, a gdy już przyrumienione nakrywa się rądel i jeszcze dusi zalawszy winem białem, pół szklanką lub całą, stosownie do ilości mięsa.

Sos hollenderski.

Do stołowéj łyżki mąki dolewa się trochę świeżéj wody, domiesza się 10 lub 12 żóttek z bardzo świeżych jaj, dosypuje się białego pieprzu na końcu noża, i ćwierć funta świeżego masła. Na kwadrans przed użyciem tego sosu dolewa się ciągle 3 kwarty sosu z ryb, a mianowicie takiego, w którym ryby ugotowane były, do których sos ten ma być dodanym. Płyn ten przystawia się do ognia a po zagotowaniu odstawia się, dodaje cokolwiek masła, soku cytrynowego i octu estragonowego. Potem przecedza się przez sitko, wlewa się to do rądelka i wstawia do kąpieli z wody gorącéj ciągle mieszając.

Sposób w jaki staremu grochowi smak zielonego groszku nadać można.

Groch moczy się w zimnéj wodzie 12—15 godzin. Najlepiéj zrobić to wieczorem. Po upływie 12—15 godzin a zatem nazajutrz rano, odlewa się wodę, groch wilgotny wsypuje się do naczynia z pokrywą i stawia w ciepłe miejsce. Po upływie 48 godzin, a zatem na trzeci dzień rano, groch zaczyna kiełkować, materje cukrowe wydobywają się i wtedy można go gotować.

Ciastka do herbaty (na prędce).

Bić półtora żółtka z cukrem dopóki nie zbieleje, dodać tyle mąki żeby było dobrze gęste i dwa białka, na pianę ubite. Porobić z tego okrągłe płaskie placuszki, ułożyć na posmarowaną blachę, posmarować pozostałą połową żółtka i włożyć do pieca, a za kwandrans będą gotowe.



KÓŁKO DOMOWE

Sierpień 1867. r.